

DZIENNIK WILEŃSKI

Dodatek kulturalno-literacki

Wydawca:
Aleksander Zwierzyński

Proboszcz w powieści polskiej

Postać księdza pojawia się w beletrystyce naogół bardzo rzadko. Że tak jest, — na to składa się wiele względów, — a więc: pewna odrębność środowiska, specjalna rola tego „lekarza dusz ludzkich” w życiu moralnym społeczeństwa, — jego praca cicha, unikająca wszelkiego rozgłosu — i wreszcie szacunek dla sukienki kapłańskiej, nakazujący pisarzowi katolickiemu przystępować do tego tematu z konieczną ostrożnością i dyskretnym umiarem, którym nie potrzebuje się zgola kępować, kreśląc sylwetki przeciętnych ludzi czyto ze sfer inteligencji, czy mieszczanstwa lub włościanstwa.

Dlatego też tylko pisarz nawskróś katolicki, a obdarzony naprawdę dużym talentem może swe zainteresowanie artystyczne skierować i w tym kierunku. Wystarczy z literatury polskiej przypomnieć prześliczną nowelkę J. Weysenhoffa „Pod piorunami”, stanowiącą istną perełkę tego rodzaju literatury.

Nowelka krótka, pełna dynamiki; bohaterem jej jest proboszcz katolicki ks. Wikliński, osiadły we wsi, na granicy dawnego „Królestwa Polskiego”. Z przedziwną ekonomią słowa maluje autor sylwetkę proboszcza z jego drobnymi ułomnościami czysto ludzkimi: instynktowny strach przed burzą i piorunami, pociąg do rozrywki towarzyskiej, do niewinnej gry w karty... Spokojne, uregulowane życie wiejskiego proboszcza, bez żadnych wstrząsów, jego codzienne drobne troski i rozrywki...

I nagle w duszy tego kapłana następuje przełom: w burzliwą noc pojawia się na plebanji para unitów z prośbą o udzielenie im katolickiego ślubu. Proboszcz zdaje sobie doskonale sprawę, jakie konsekwencje może pociągnąć dla niego przychylenie się do tej prośby. Jednak nie waha się ani chwili... I odtąd staje się cichym bohaterem, „przemytynikiem dusz ludzkich”.

A kiedy podczas przyjęcia we dworze sąsiednim wybucha burza, — ks. Wikliński opuszcza towarzystwo i wraca natychmiast na plebanję, na swój posterunek.

On wie, kogo burza tam przynosi. Nawet gdyby nikt się dzisiaj tam nie zjawił on będzie w pogotowiu, na swym wysokim posterunku przemytynika dusz — pod piorunami.

Najobszerniejszą powieścią tego rodzaju jest „Ksiądz Prot” J. Augustynowicza, którą nazwać bynajmniej powieścią psychologiczną. Niestety — nie udana. Autor poszedł po linii najmniejszego oporu: z jednej strony wyidealizowana aż do przesady postać bohatera („piękno, wytworność, piękna szlachetna twarz o rysach rzeźbionych, gorące oczy, śliczne usta... itd.”) — z drugiej naiwne karykatury proboszcza i okolicznych księży, potrzebne mu dla tem silniejszego kontrastu. Operuje tylko kolorem czarnym i białym ale czyni to w sposób tak niezadarny, że obniża wartość całej po-

wieści niemal do zera. Zwłaszcza, że i akcja sama grzeszy brakiem psychologicznego pogłębienia, a wątek jej przypomina chyba powieści Mniszkówny..

Podobne zagadnienie — walka między ofiarną służbą dla Boga a zdobyciem osobistego szczęścia ziemskiego — jest tematem powieści E. Ligockiego „Thalassa”, pisanej w czasie wielkiej wojny, — powieści, odznaczającej się artystycznym umiarem, stojącej ocale niebo wyżej zarówno pod względem konstrukcji jak i ujęcia tematu..

Z najnowszej literatury powojennej na osobną wzmiankę zasługuje powieść B. Pawłowicza „Pionierzy”, osnuta na tle życia kolonistów polskich w Brazylii. Wśród tej społeczności chłopów — osadników nie może oczywiście braknąć i księdza polskiego. Spotykamy ich tam dwóch: proboszcza ks. Pilszaka i starego wikarego ks. Tyszkowskiego.

Sylwetka proboszcza naszkicowana dość pobieżnie: dowiadujemy się, że nie gardzi on dobrem winem, chętnie w wolnych chwilach zasiadzie do zielonego stolika, — ale gdy potrzeba, potrafi głosić Słowo Boże z całym zapalem i swadą, umie przemówić i trafić do duszy i serca słuchaczy, rozpalć w nich ogień miłości Bożej i miłości do dalekiej, a jakże ukochanej ojczyzny.

Ze specjalną natomiast miłością maluje Pawłowicz postać starego wikarego ks. Tyszkowskiego. Z miłością, ale bez kliwów, zdawkowej przesady. Jest to najczarniejszy staruszek, przyjaciel wszystkich zwierząt, nieoceniony opiekun i doradca swych owieczek, człowiek o gołębiej dobroci serca. Nie wystarcza mu być lekarzem dusz: urządza u siebie prawdziwe „ambulatorjum”, jest leka-

rzem — internistą, chirurgiem, spiesząc na każde zawołanie z pomocą.

A w chwilach wytchnienia od pracy układa przepiękne poematy — modlitwy:

„Święta Marjo, Matko Boża módl się za nami grzesznymi za nami błądzącymi, za nami pragnącymi i oszalałymi wielkością życia, które Bóg na niebie stworzył, aby służyło Wielkość Jego i Chwałę. Módl się za nami grzesznymi, teraz, gdy niebo czyste i słoneczne i w godzinę śmierci naszej, gdy zmiecie nas, proch Twój i pył, z powierzchni świata, amen!”

„Tu żegnał się ksiądz Tyszkowski i całował imbujowy krzyż, a serce miało gorące i radosne, jak radosne było sarduszeko sabijki leżące, na wolność.”

Ów ksiądz Tyszkowski, to jedna z najpiękniejszych postaci w naszej literaturze powojennej z tego zakresu.

Epizodyczną figurę staruszka-księdza spotykamy również w powieści Henryka Lubieńskiego: „Błędne koło”. Bohater powieści, zbankrutowany przemysłowiec, nie widząc innego wyjścia z owego „błędne koła”, w jakie los go wciągnął, postanawia zakończyć swe porachunki z życiem. W czasie samotnego spaceru w okolicach Warszawy natrafia na zaciszną plebanję, gdzie ksiądz staruszek w gronie dzieci odprawia majowe nabożeństwo. Ksiądz wdaje się w rozmowę z kandydatem na samobójcę, w słowach prostych, lecz natchnionych, owianych poezją miłości bliźniego, pociesza go i dodaje mu sił do dalszej walki życiowej. I na zakończenie wręcza mu kwiat purpurowej róży, jako symbol miłowania... Uratował jedną duszę od zguby...

Wspomnieć wreszcie należy o dwóch nowelkach Obie wyszły z pod pióra kobiecego.

Jedna to Marii Dąbrowskiej: „Zegar

z kukulką” zawartą w zbiorze nowel pod ogólnym tytułem „Ludzie stamtąd”. Krótka, zwarta, sugestywna opowieść o ostatnich dniach życia starego zacnego proboszcza, który całe swe pracowite życie oddał w służbę Boga i bliźniego, był lekarzem dusz i ciała, powiernikiem i pocieszycielem nieszczęśliwych.

Ewa Szelburg-Zarembina w swej powieści „Dokąd?” omawia zagadnienie wiary religijnej w nieśmiertelność duszy — w odmiennym ujęciu starego niewidomego księdza i prostaka-chłopa, rzeźbiącego w drzewie swoje „Świątki”. Książka, przepełniona mistycyzmem, nie stanowi najlepszej pozycji w dorobku literackim tej pisarki.

Czuje się, że autorka zabrała się jednak do nieswoich rzeczy.

Na tem kończy się ta — jakże skromna — bibliografia. W ostatnich latach postać księdza znika z polskiej powieści.

Bo i gdzież dla niej miejsce w tej prowadzi literatury sensacyjnej czy erotycznej, z takim zapalem tworzonej przez dzisiejszych pisarzy? Czyżby zmieniły się upodobania i zainteresowania czytelnika? Mam przekonanie, że nie. Czytelnik polski, wychowany w duchu katolickim, głębokiej wiary i przywiązania do Kościoła, literaturą tego rodzaju jak dzisiaj modną nie interesuje się zgola.

Czeka na dobrą powieść, o zdrowej, szlachetnej tendencji, poświęconą poważnym zagadnieniom kulturalnym — moralnym. A w takiej powieści, — o ile ma ogarniać całokształt współczesnego życia polskiego, — uwzględniona być musi doniosła rola, jaka przypada naszemu duchowieństwu.

Kazimierz Rychłowski

Arjadne w Mantui

Kiedyś z końcem zeszłego i z początkiem bieżącego wieku Vernon Lee była w modzie. Jeszcze wówczas nie było straciło swego magicznego uroku hasło „sztuka dla sztuki”. Jeszcze oblicza twórców zwracały się często ku przeszłości. Jeszcze odrodzenie włoskie magnetycznie pociągało rodaków Browninga, Rossettiego, Patra.

Dla Vernon Lee Włochy były drugą ojczyzną, okres późnego renesansu przeżywała ona w marzeniach i badaniach, niby własne życie. Poza dobrem studium o XVIII wieku we Włoszech w innych utworach, przeważnie krótkich, do przepięknych mozaik podobnych nowelach, wskrzeszała Vernon Lee — z pewną stylizacją — owo życie, w którym zapal dla sztuki kojarzył się z silnymi namietnościami. Z pewną stylizacją, powiedziałem, gdyż rzeczy brudne i poziome tu nie istniały. Włoska rzeczywistość XVII i XVIII wieku doznawała dziwnego przetworzenia. Pozioma żądza zmieniała się w szezynę

uczucie, objawy zdzieżenia nabierały wielkości i wzniosłości, zbrodnie zmieniały się w szczytne tragedie.

Jednym z najdoskonalszych utworów Vernon Lee jest krótka, choć pięcioaktowa, sztuka „Arjadne w Mantui”. Podobno natchnęła ją autorka wizja pałacu książęcego w Mantui, z trzech stron oblanego jeziorami, i stara włoska pieśń z XVII w. („Amarilli” Cacciniego).

Rzecz nie dzieje się w jakimś ściśle określonym czasie (jak mówi Vernon Lee, w Medjolanie panuje szekspirowski Prospero, a wkrótce ma nastąpić wenecka wyprawa na Cypr pod dowództwem Otella). W każdym razie jest to epoka renesansu. Sztuka odgrywa w życiu tak wybitną rolę, że młody książę Ferdynand, wydostawszy się z niewoli u niewiernych, upamiętnia to, każąc na plafonach swego pałacu umieszczać motywy labiryntu, że melancholiję leczy się śpiewem i muzyką, a uroczystości w rodzaju wesel uświetnia się maskami tj. widowiskami mitologicznymi.

Młody książę spędził w niewoli lat

pięć. Ośladzała mu je śpiewem i miłością Magdalena — córka sprzedanej muzułmanom za dukata kurtyzany weneckiej i sama od niej nielepsza. Lecz wielka miłość uszlachetniała jej duszę. Magdalena zdobyła się na ofiarę. Uwolniła Ferdynanda z jego labiryntu, umożliwiając mu ucieczkę. Plan wymagał, aby została. Pocóżby zresztą towarzyszyła wypuszczonemu z klatki ptakowi? Jego czekały obowiązki tronu, ona czuła się istotą z rynsztoka. Czyż miała zostać dla niego kulą u nogi? Nie była zaś z rodu chciwych na władzę, przepych i pieniących nałożnic monarszych, była zdolna do najwyższego poświęcenia.

Lecz drogi tych dwojga zeszedł się znów. Młody książę po ciężkich przeżyciach popadł w melancholiję i zanik pamięci. Obojętny na wszystko, milczący, zamyka się w swej komnacie. Nawet rodzonej matki nie chce widzieć. A przecież trzeba rządzić księstwem, trzeba uchronić od wygaśnięcia ród, którego Ferdynand jest ostatnim męskim potomkiem. Rodzina przeznacza mu na żonę

księżniczkę Hipolitę, wychowaną starannie na żonę panującego, dzielną i ambitną, o męskich upodobaniach. Nie straszy jej małżeństwo bez miłości, ale księcia trzeba wprzód uleczyć. I stryj Ferdynanda kardynał stara się, aby z Wenecji przysłano wysoko uzdolnionego muzyka i śpiewaka. Rzeczywiście przybywa chłopak Diego, pół-Hiszpan, pół Maur. Jest nim Magdalena.

Śpiew i towarzystwo przybysza uleczyły księcia. Wróciła pamięć — z jednym wyjątkiem. Nie poznał Magdaleny. Początkowo odczuwał podobieństwo i dlatego może udała się kuracja. Gdy się jednak udała, przypisuje rzekome złudzenie chorobliwemu stanowi umysłu. Dla Diega żywi wdzięczność, radby go zawsze mieć przyjacielem. Opowiada mu też o swojej przeszłości. A gdybyś znów spotkał Magdalene, czy kochałbyś ją jeszcze? — pyta Diego. — Kochałbym ją bardzo, tak, jak ciebie, jak przyjaciela — brzmi odpowiedź. — A Diego milczy i odwraca twarz, aby książę nie poznał, co dzieje się w duszy.

Dziwny to chłopak, ten Diego. Nie żąda nagrody za uleczenie księcia, nie szuka wpływów na dworze. Nie modli się, lecz lubi, by się za niego modlono. Nie dzieli ogólnej radości z przemiany księcia, lecz oddaje się melancholijnym dumaniom. Nikomu nie robi nic złego, lecz odpycha ludzi swą dziwną mieszaniną pokory i dumy. Księżniczkę Hipolitę zraża chłodną uprzejmością. Tylko gdy stara księżna składa mu dziękczynienia, płynące z głębi matczynego serca, Diego pod wpływem wzruszenia wyznaje swą tajemnicę — i czeka na wybuch pogardy, na uwieszenie czy sromotne wypędzenie z dworu. Lecz księżna nie zmienia tonu ani na jotę. Dziwi się raczej, że syn nie poznał Magdaleny. Widocznie jeszcze: niezupełnie ozdrowiał...

Na weselu książę Diego obmyślił i ułożył przepiękne widowisko. Wyyskał położenie pałacu. Maska będzie odegrana na wyspce jednego z jezior. To wyspa, na której wiarołomny Tezeusz porzucił biedną Arjadnę, źle jej się wywdzięczając za kłębek, umożliwiający wyjście z labiryntu...

Rozgrywa się akt ostatni. Dostojne grono, wśród którego jest i żona doży weneckiego i nadworny poeta księcia Ferrary, Torkwato, i książęta i dostojnicy Kościoła, zgodnie podziwiają efekty wzrokowe, czar poetyckiego słowa, precudne pieśni, a nadewszystko grę Diega-Arjadny. „Wygląda, jak dziecko, a śpiewa, jak ktoś, kto poznał całe światy radości i smutków” — „Tak, tak”, odpowiada kardynał, który zna tajemnicę, „zaprawdę, myślę chwilami, że zbyt daleko idzie w patetyczności. A ja jestem bez zastrzeżeń za olimpijską pogodą mądrych starożytnych”.

Starej księżnej nie podoba się kaprys Diega, aby ze stromej wysepki zrobić scenę. „Boję się o aktorów” powiada ona, gdy goście zachwyta się cudnym widokiem.

A z panem młodym dzieje się coś dziwnego. Zapomniał o dobrem wychowaniu, odpowiada dostojnym gościom półśłówkami. Muzyka dziwnie go rozstraja. A może książę w pełni odzyskuje pamięć.

Podnosi się kurtyna. Jak wspaniale ten chłopak potrafił ucharakteryzować się za kobietę!

Do Arjadny zaleca się Bakchus. Lecz biedna opuszczona nie chce i boga. Odchodzi Bakchus z chórami satyrów i menad. Następuje przedśmiertny monolog Arjadny — coraz namiętniejsze i coraz bardziej stojące się śpiewem recitativo.

W przeszłości mnie kochał i wciąż mnie kocha. Nie tego nie odmieni. Nie, Tezeuszu, nie możesz nigdy kochać innej tak, jak mnie kochałeś. I miłość Twoja dla niej będzie jedynie wiotkim łuchem rzeczywistości, która żywą była dla mnie. Lecz, Tezeuszu — nie porzucaj mnie jeszcze. Jeszcze godzinę, jeszcze minutę! Tyle ci mam do powiedzenia, najdroższy, nim odejdziesz.

Wiesz nie zaśpiewałam ci jeszcze tej piosenki, której lubiłeś słuchać wieczorami. Nie możesz odejść, nim ci ją zaśpiewam. Patrz, oto moja lutnia. Lecz muszę ją nastroić. Wszystko utraciło właściwy ton, w mem biednym rozstrojonym życiu.

I Arjadna-Diego-Magdalena śpiewa piosenkę, którą pocieszała Ferdynanda w więzieniu mauretańskim. Od tego czasu po raz pierwszy ją powtarza. Chór podchwytuje ostatni dwuwiersz o życiu podobnym do zabawy dziecinnej, bez wczoraj i bez jutra.

Poeta z Ferrary szepce w ucho młodej księżnej: Jego wysokości jest niedobrze. — Lecz młoda księżna nawet nie chce odwrócić głowy: to muzyka go tak oczarowała. To nic. Cicho.

Księżna-wdowa widzi, że syn jest bliski zemdenia. — To nic matko, to przejdzie. — Odwagi mój synu, wiem wszystko...

A na scenie słychać namiętne recitativo:

O Tezeuszu, pieśń ma odśpiewana. Ach szkoda, szkoda naszych biednych pieśni, które śpiewamy kochankom i próżno usiłujemy zmienić w coś nowego! Teraz odpuść mi i niech ciemność obejmie moje utrudzone serce. Dobranoc, Tezeuszu, ma miłości!

Tremolo skrzypiec, w które miesza się nagle oboj długą, płaczącą frazą. Arjadna idzie ku tyłowi sceny, odwraca się na chwilę, rzuca pocałunek komuś,

kogo niema w pobliżu, i skacze w jezioro.

Publiczność nie posiada się z zachwytem i wywołuje Diega-Arjadnę. — Prawdziwy artysta nie popsuje wrażenia kłanianiem się klaszczącym — mówi poeta z Ferrary. — Ale co to, książę zniknął. Jakiś dworzanin przeciska się do kardynała. — Eminencjo, słówko. — Czy książę dostał znów ataku swej choroby? — Nie, eminencjo, lecz Diega nigdzie nie można znaleźć, a za kulisy przyniesiono ciało kobiety w szatach Arjadny. — Ach, tylko tyle? Dyskrekcja, proszę. Wiedziałem o tem. Lecz to bardzo smutny wypadek. Dyskrekcja przede wszystkim!

W tej chwili jawi się książę, ociekający wodą. Na rękach trzyma ciało kobiety. Wszyscy wybuchają okrzykiem zgrozy. Młoda księżna chwytą się ramienia poety: Diego! — A książę schyla się nad ciałem, które złożono na ziemi i mówi ledwie dosłyszalnym szeptem: Magdalena.

Sztuka Vernon Lee, napisana prozą, lecz pełna subtelnej poezji, nie była przeznaczona dla sceny. Przełożyła ją jakich trzydzieści lat temu, na język włoski przyjaciółka autorki, hrabina Angelica Rasponi. „Arjadnę w Mantui” grano raz w Anglii podczas wojny na popołudniowym przedstawieniu na cel dobroczynny.

Zapomniano o Vernon Lee prawie zupełnie. Nie znalazłem jej nazwiska w słowniku biograficznym literatury angielskiej ani w wydawnictwie „Kto jest

kim w literaturze” za rok 1928... Lecz pamiętało o niej, dzisiaj staruszcze, która oddawna nic nie wydała kółko włoskich przyjaciół. I oto 14 i 15 kwietnia wystawiono w teatrze Fidente „Arjadnę z Mantui” w przekładzie hrabiny Rasponi.

I to wystawiono niebyłe jak. Rolę Magdaleny-Diega objęła wybitna artystka Marja Celli, wprowadzono szereg starych pieśni Cacciniego, Monteverdiego i innych włoskich klasyków, powierzając ich wykonanie śpiewacze Micie Vasari z medjolańskiego teatru Della Scala. Balety wyćwiczył kierownik szkoły tańca przy teatrze Fidente, Carletto Thieben. Wogóle postarano się o postawienie na najwyższym możliwym poziomie każdej z poszczególnych sztuk pięknych, które składają się na dramat Vernon Lee.

Nie na tem koniec. Role gości weselnych w ostatnim akcie objęli przyjaciele autorki. Są między nimi najbardziej znane nazwiska włoskiej arystokracji. Hr. Mario Gigliucci gra ambasadora weneckiego; Signor Carli Piaci legata papieża; występują też hrabina Karolina Rasponi, markiza Antinori, signorina Farina i kilka Angielek, również z wyższych sfer towarzyskich.

Notatka dziennikarska, z której biorę te szczegóły, pisana była przed premierą. Zawierała wzmiankę o obawach zespołu, zarządzającego przedstawienie: Vernon Lee nie lubi publicznych owacji. Czy też przyjmie wieniec laurowy, który jej postanowiono wręczyć?

Władysław Tarnawski

Goethe w opactwie w Einsiedeln

(Z okazji 1000-lecia opactwa w Einsiedeln)

W całym świecie katolickim żywym echem odbija się wieść o jubileuszu, jaki w maju b. r. obchodzi jedno z najstynniejszych miejsc pielgrzymkowych, Maria-Einsiedeln, w Szwajcarii. A jubileusz to bardzo czcigodny, bo związany z 1000-leciem istnienia opactwa einsiedelskiego.

Uroczystości jubileuszowe przeciąga się tam przez kilka miesięcy, a zakończy je międzynarodowy zjazd ku czci Chrystusa-Króla, na który — na zaproszenie opactwa — wybrano w tym roku właśnie Einsiedeln — w związku z rocznicą wspomnianą.

Jak wiadomo, na miejscu dawnej pustelni Św. Meinrada ufundował w r. 934 pobożny kanonik katedralny ze Strassbourga, Eberhard, benedyktyński opactwo w Einsiedeln, które — z czasem — stało się sławnym miejscem pielgrzymkowym, znanym z bardzo licznych nawróceń.

Miliony pielgrzymów i pątników różnego stanu i wieku przesunęły się przez Einsiedeln w ciągu tysiąclecia...

Wśród tego barwnego i nieprzejrzanego tłumu odrzyna się jednak jedna sylwetka nieprzeciętna bardzo wyraziste i zasługująca, by się jej przyjrzeć — z okazji 1000-lecia Einsiedeln — nieco bliżej: na tle cudownego miejsca. Jest to sylwetka księcia poetów niemieckich, Goethe'go.

Goethe — jak wiadomo — był protestantem. Umiął on jednak — dzięki rzadko spotykanej uniwersalności swego umysłu — ocenić należycie wartości

¹⁾ P. Odilo Ringholz O.S.B. opisuje bardzo interesująco te barwne tłumy w swej naukowej pracy o pielgrzymkach do Einsiedeln, wydanej w Fryburgu w roku 1896. — Porów, również: co pisze znakomity Hettinger w swych szkicach „Aus Welt und Kirche”.

sanktuarjum w Einsiedeln. Dał zresztą tego dowód poprzednio przy opisie pielgrzymki do „Św. Rocha” koło Bingen.

Podczas swej pierwszej podróży do Szwajcarii zwiedził Goethe w czerwcu r. 1775 klasztor i kościół w Einsiedeln i opisał te swoje odwiedziny w „Dichtung und Wahrheit” (Teil IV, Buch 18).

Przybył on tym razem — podobnie jak następnie w czasie drugiej podróży do Szwajcarii w r. 1797 — drogą z Richterswil przez Schindellegi, następnie doliną alpejską poprzez Haggen do Schwyz.

Przepięknie opisuje Goethe pierwsze wrażenie, jakie na nim wywarła procesja pielgrzymów, idących z modlitwą i pieśnią na ustach do Einsiedeln. „Zatrzymaliśmy się” — pisze następnie Goethe — „by poczekać aż przejdą. Pozdrawiają nas. Wprzegają nas w zgodną harmonię z ich pobożnymi celami. Jakże oni ożywiali charakterystycznie i wdzięcznie te puste wyżyny!

Widzimy rzucającą się nam w oczy ścieżynę, wijącą się w dali, obecnie ożywioną. I my nią powędrujemy, będzie nam teraz jakoś raźniej”.

A potem daje Goethe wyraz zrozumieniu cudzych przekonań i poglądów, pisząc j. n.: „Jakże dla protestanta zwyczaj rzymskiego kościoła są nawskróś pełne treści i imponującej siły! Uderzają go one swą pierwotnością wewnętrzną, której zawdzięczają swą genezę, a któremu zawdzięczają przekazywanie drogą tradycji z pokolenia na pokolenie. W ten sposób dochodzi on do ich jądra istotnego i uznaje je, nie zatrzymując się w tym momencie nad ich powłoką czy łupiną zewnętrzną, ani nad samem drzewem, jego gałęziami, liśćmi, korą i korzeniami.”

Ogromne wrażenie uczyniły na duszę Goethe'go olbrzymie budowle kościoła i klasztoru w Einsiedeln, wyrastające wspaniałym masywem architektonicznym z pustej doliny górskiej.

Szczególniejsze jednak zainteresowanie wywołał u poety maleńki „kościółek”, mieszczący się wewnątrz kościoła, uznawany przez zgodną tradycję tyśiącletnią, za dawną pustelnię Św. Meinrada, przebudowaną i ozdobioną wspaniale w ciągu dziesięciu wieków.

Goethe określił ten kościółek wewnętrznym, inkrustowanym marmurem, ozdobionym kolumnkami, pięknie sklepiony — jako coś jedynego w swoim rodzaju, czego nigdy przedtem nie widział.

Po opisie tej „Gnadenkapelle” pisze poeta z zapalem:

— „Musi to budzić poważne refleksje... Oto: jedna iskra cnoty i bojaźni Bożej zapala gorejący, jasny płomyczek, wiecznie żywy, do którego pielgrzymują wśród uciążliwych trudów rzesze wiernych. Każdy pragnie u tego płomyczka zapalić swoją świeczkę. Bądź co bądź wskazuje to na bezgraniczną tęsknotę człowieka za takim samem światłem i ciepłem, jakie w piersi swej nosił i żywił ten pierwszy, co był pełen uczucia i najgłębszego przekonania!...”

Pomiedzy osobliwosciami klasztoru w Einsiedeln najbardziej zainteresował Goethe'go miedzioryt Marcina Schön'a, przedstawiający śmierć N. Marii P. Wyraził wówczas gorące pragnienie, by móc otrzymać dobrą podobiznę dzieła M. Schön'a. Pragnienie to było tak gorącym, że nie spoczął w staraniach, aż wreszcie „zdobył” świetną kopję miedziorytu. Bardzo się nią zawsze cieszył. Przypominała mu ona też głębokie przeżycia z opactwa w Einsiedeln.

Mgr. H. W.

Guglielmo Marconi

(w sześćdziesiątą rocznicę urodzin)

Dnia 14 maja 1897 roku przyniosły dzienniki krótką notatkę telegraficzną, która przeszła niemal niepostrzeżona, ważniejsze bowiem zagadnienia zaprzętały wówczas umysły ludzkie. Notatka brzmiała, iż młody wynalazca włoski, Marconi, posługując się falami elektrycznymi, zdołał przesłać wiadomości zapomocą telegrafu bez drutu na odległość pięciu kilometrów.

A w roku 1930 obiegła prasę całego świata wiadomość, że tenże sam Marconi z pokładu swego jachtu „Elektra”, stojącego na kotwicy w porcie genueńskim, jednym pociśnięciem kontaktu zapalił miliony lampek elektrycznych na wielkiej wystawie światowej w Sidney, w Australii.

W tych dwóch datach zamyka się historia największego wynalazku XX wieku: telegrafu bez drutu.

„Zamyka się”, — to wyrażenie nieścisłe. Marconi bowiem, który przed paru dniami święcił sześćdziesiątą rocznicę swych urodzin, nie ustaje w pracy, poświęcając obecnie całe swe zainteresowanie zagadnieniu fal krótkich, przedstawiającemu cały szereg olbrzymich, niewyzyskanych jeszcze dotąd w całej pełni, możliwości.

Telegraf bez drutu stał się dziś własnością ogółu, a zasada tego epokowego wynalazku znane są każdemu przeciętnie inteligentnemu człowiekowi, nawet zupełnemu laikowi w dziedzinie fizyki i elektryczności.

Dlatego, zamiast wdawać się w techniczne opisy, podajemy dziś kilka interesujących szczegółów i dat z życia genialnego wynalazcy.

Urodził się Guglielmo Marconi w Pontecchio koło Bolonii. Matka jego była z pochodzenia Irlandką po niej też odziedziczył zmysł praktyczny i kurpiecki, którym odznaczał się już od wczesnej młodości.

W szkole technicznej w Bolonii słucha młody Marconi wykładów sławnego fizyka Augusta Righi, który słuchaczy swych zapoznaje z najnowszymi zdobyczami M. Faradaya, Jamesa Maxwella, H. Hertza i Edw. Branly'ego.

Marconi słucha tych ciekawych wykładów z zapartym tchem. Nowe te zagadnienia nie interesują go tylko teoretycznie: rozmyśla on nad możliwością wyzyskania praktycznego nowych odkryć i nad korzyściami, jakie osiągnąłby z nich młoda.

W domu rodziców przeprowadza na własną rękę liczne eksperymenty, buduje aparaty własnego pomysłu. I na wiosnę 1895, przez bezpośrednie uzziemienie aparatu nadawczego i odbiorczego dochodzi do zdumiewającego rezultatu: przesyła pierwsze sygnały telegrafem bez drutu na odległość mili!

Zachęcony tym wynikiem wyjeżdża w roku 1896 do Londynu, gdzie rozpoczyna swą świetną karierę. Aparat swej konstrukcji demonstruje dyrektorowi poczt londyńskich, Sir William Preece zachwycony jest pierwszemi eksperymentami, toruje młodemu wynalazcy drogę i ułatwia mu uzyskanie pierwszego patentu. W krótkim czasie zawiązuje się wielkie akcyjne towarzystwo: „Wireless Telegraph Company Ltd.”, którego akcje osiągają stopniowo wręcz zawrotny kurs.

W pobliżu plaży morskiej Penarth,

na wysokiej na 20 mtr. skale, buduje Marconi pierwszy maszt z anteną i uzziemieniem, wysoki na 30 m.

Stacja nadawcza umieszczona została w odległości 5 kilometrów na małej wysepce Flathehm. Działo się to dnia 14 maja 1897, nad brzegami Anglii szalała burza z gwałtownym wiatrem. Marconi ze swymi współpracownikami siedzieli skuleni w wielkiej drewnianej szopie, wpatrzni w aparat odbiorczy, mający odbierać sygnały nadawane aparatem Morse'go.

I oto w pewnej chwili aparat zaczął wystukiwać pierwsze znaki. Telegraf bez drutu znalazł praktyczne zastosowanie, a notatka dziennikarska — o której wspomnieliśmy na wstępie — poinformowała świat cały o narodzeniu się nowego, epokowego wynalazku.

Radio staje się początkowo sportem panujących. Król włoski interesuje się żywo nowym wynalazkiem. Z jego inicjatywy buduje Marconi w Spezia stację nadawczą, pozostającą w kontakcie z wojenną flotą włoską. Zasięg stacji dochodzi już do 12 mil.

Królowa Wiktorja daje Marconiemu do dyspozycji jacht „Osborne”.

W roku 1899 uzyskuje Marconi bezpośrednie połączenie (poprzez Ka-

nał La Manche) Anglii z kontynentem europejskim.

Teraz idzie mu o zdobycie oceanu. Buduje dwie potężne stacje radiowe, jedną w Poldhu (w Kornwalji), drugą w St. John w Nowej Fundlandji. Do eksperymentu tego, reklamowanego głośno w całym świecie, odnosi się opinia publiczna bardzo krytycznie. Pojawiają się w gazetach wierszyki satyryczne i artykuły, przeważnie inspirowane przez przedstawicieli wielkich podmorskich Kablo, którzy niechętnym okiem spoglądali na grożącą im konkurencję.

W długich wywodach starano się udowodnić, że przesyłanie wiadomości drogą radiową poprzez oceany jest rzeczą niemożliwą.

Dzień 12 grudnia 1901 był dniem najwyższego tryumfu Marconiego: stacje nadawczo-odbiorcze w Poldhu i w St. John wymienili między sobą pierwsze sygnały zapomocą fal radiowych. Ocean został zdobyty!

Dalszemi etapami w rozwoju radia było umożliwienie bezpośredniej komunikacji z lądem stałym okrętów znajdujących się na pełnym morzu. W ślad za tem parowiec transatlantycki „Campania” zaczyna pierwszy wydawać dziennik „Cunard Daily Bulletin”, z którego pasażerowie dowiadują się co dnia najświeższych wiadomości z

całego świata, transmitowanych przez radio.

Następują lata długiej, wytężonej, a cichej pracy. Marconi przebywa przeważnie na pokładzie swego jachtu „Elektra”, gdzie przeprowadza dalsze doświadczenia i badania.

Po zakończeniu wojny światowej pojawia się nazwisko wielkiego wynalazcy na terenie politycznym: Jako delegat Włoch bierze udział we wszystkich konferencjach pokojowych, kładąc swoje nazwisko na wszystkich zawartych w tym okresie czasu traktatach.

Wraca jednak szybko do swej pracy, poświęcając się znowu badaniu fal krótkich, poniżej długości 1 metra. I na tem polu osiąga zdumiewające rezultaty: zapomocą krótkich fal o słabym napięciu uzyskuje połączenie Londynu z Australją, a najbardziej może efektywnym eksperymentem było właśnie otwarcie wystawy światowej w Sidney.

Obecnie Marconi, któremu król włoski nadał tytuł markiza, jest dostojnym senatorem, honorowym prezesem Akademji Umiejętności, laureatem Nobla, posiadaczem niezliczonych odznaczeń i orderów. Jest człowiekiem, znanym na całym świecie, któremu dał jeden z największych wynalazków w dziejach ludzkości: radio.

(k. r.)

Różanecznik-kwiat Czarnohory

Południowo-wschodni pas Karpat, przedstawia się w postaci malowniczej i prawie dzikiej krainy górskiej. Piękny ten zakątek ziemi Polskiej, nazwany huculsczyzną, od miana zamieszkałych tam huculów, jest terenem dotychczas nie wyzyskanym pod względem turystyki, tak jakby się należało.

To też ostatnio „odkrycie” huculsczyzny, oraz wielkie zainteresowanie się tą polacją kraju, przyczyni się niewątpliwie do dokładnego poznania piękna Karpat wschodnich, tak przez nas Polaków, jak i turystów zagranicznych.

Pośród wielkiego bogactwa fauny i flory karpackiej — przejawów życia na huculsczyźnie, oraz związanego z niem przemyślnego ludowego (domowego), pragnę, jako przyrodnik zwrócić uwagę szan. czytelników, na roślinę, która właściwą jest tylko Czarnohorze.

W południowo — wschodnich karpatach, ponad innymi pasmami górskimi dominuje pasmo Czarnohory — najpotężniejsze w tej partji Karpat, przebiegające na przestrzeni zwyż 20 km. z północnego zachodu na północny wschód, z takimi szczytami jak Howerla (2058 m.), Pietros (2022 m.), Munczel (2002 m.) i Pop Iwan (2026). Wymieniłem tylko najwyższe szczyty, jest ich bowiem znacznie więcej. Na północno — wschodnich stokach Czarnohory, wytryskują liczne źródła, z których białe początki Howerla a Spyciami dają początek pięknej rzeki górskiej — Prutowi.

Brak miejsca nie pozwala mi zająć się w niniejszym artykule budową geologiczną Karpat, wspomnę tylko, że źródła te ułożone są w kotlinach pełnych głazów. Kotliny te z jednej

strony obniżają się tarasowo wzdłuż biegu strumyków, z drugiej strony zaś zamknięte są skałami sterczącymi prostopadle, składającymi się z wąsko uwarstwionego piaskowca oligoceńskiego, przegradzanego pokładami łupku, który wietrzejąc pozostawia prostopadle wysokie tablice kamienne o fantastycznych kształtach. (porz Wł. Szuchiewicz „Huculsczyzna” tom I.)

Po tym pobieżnym szkicu Czarnohory przystępuje do właściwego tematu. Roślinność Czarnohory jest analogiczną roślinności innych partyj Karpat, z tą małą różnicą, że zasięg jej jest nieco wyższy.

Pośród bogatej flory ziem polskich, istnieje roślina, która występuje tylko w Czarnohorze. Ta huculska szarotka — tak ją bowiem nazywamy — to różanecznik (Rhododendron myrtifolium). Roślina ta z rodziny wrzosowatych (Ericaceae), jest rośliną kseromorficzną t. j. przystosowaną do życia w takich warunkach gdzie przez dłuższy czas brak wody. Różanecznik pojawia się wzdłuż całego pasma Czarnohory, na skalistych obrywach w wysokości od 1300 m. do 2000 m. (w ostatnim nr. czasopisma „Wierchy” r. 1933, jest wzmianka prof. Kulczyńskiego o różaneczniku wschodnio — karpackim (Rh. Kotschyi), oraz liczne fotografie tej rośliny.)

Różanecznik mirtowaty (Rhododendron myrtifolium) jest to krzew rozgałęziony, wysokości do 1 m. Pędy różanecznika częściowo leżą na ziemi (podłożu), częściowo zaś pną się w górę. Liście skórzaste, kształtu elipsy — jajowatego, o brzegach lekko podwiniętych, pojawiają się tylko w górnej części pędu, we wielkiej ilości. Dolne części pędu pokryte są

brodawkami, są to szczątki liści.

Kwiaty różanecznika barwy różowej, lub purpurowej (r. Kotschyi), rosną na szczytach pędów, na krótkich ogonkach. Są one cztero lub pięciokrotne. Rhododendron myrtifolium, należy do roślin dwuliściennych (Dycotyledones), z podklasy zrosłopłatkowych (Sympetaleae), które odznaczają się tem, że okwiat mają zróżniczkowany zawsze na kielich i koronę, o płatkach ze sobą zrosniętych. Preciki ich są przyrośnięte do korony i występują zwykle w ilości dwa razy większej niż ilość płatków. Zalążki występują w wielkiej ilości i mają tylko jedną osłonkę. Kwiaty zapylane bywają przez owady.

Różanecznik mirtowaty kwitnie w miesiącach maju i czerwcu. Niedługo już okres czasu, gdy na Czarnohorze pośród nieprzebranych gąszczu kosodrzewu zakwitnie „huculska szarotka” — różanecznik, którego niepozorne małe kwiatki czerwienić się będą poprzez ciemną zielen kosodrzewu jak rubiny.

TADEUSZ KWAŚNIEWSKI.

Zdania i Myśli

„Życie tak samo jest jak ogień, który zżera główni wszystkie sok i miąższ po kawale; pali nas, dając nam blask i ciepło przez chwilę przemijającą...”

Stanisław Wyspiański „Meleager”

„Życie skupia się czasem w jednym celu, przedmiotowo małym, a gdy go zabraknie, człowiek nie wie: dlaczego spełnia najprostsze czynności.”

Henryk Sienkiewicz „Bez dogmatu”

(H. W.)

„Sardana” narodowy taniec kataloński

Pogodny ciepły wieczór w Barcelonie. Od strony portu płynie powiew wilgotnego, orzeźwiającego powietrza, mieszając się z upojną wonią kwiatów.

Po długiej na kilometr ulicy Paralelo snują się tłumy, żadne taniec, popularnej rozrywki, — z Luna-Par-ku płyną tony banalnej międzynarodowej melodii tanecznej.

W pewnej chwili ponad zmieszany gwar, śmiechy i rozmowy wybija się ostry przenikliwy dźwięk fletu. Padają ostre, urywane tony... sześć, ośm, dziesięć, tów.

I momentalnie obraz ulicy się zmienia: z ogródków zrywają się od stolików mężczyźni i kobiety, młodzi i starsi, — wybiegają na środek ulicy, ujmują się za ręce, formują koło i zaczynają... tańczyć. Koło powiększa się z każdą chwilą, otacza je coraz gęściejszy tłum widzów, którzy głośnie mi okrzykami, śpiewem i oklaskami zachęcają tańczących. W ciągu paru minut ustaje wszelka komunikacja: dorożki, tramwaje, auta zatrzymują się samorzutnie, żaden pojazd nie ośmieliłby się wtargnąć w środek tego tłumy, obserwującego tańczące pary! Bo ten taniec — to „Sardana”, narodowy taniec Katalonii!

„Sardana”... trzeba urodzić się katalończykiem, by móc zrozumieć całe piękno i całe znaczenie tego tańca. Taniec to jedyny w swoim rodzaju: taniec — symbol. Jak inne ludy śpiewają swe hymny narodowe, tak katalończycy tańczą swoją „sardanę”.

Tańczyć „sardana” to publiczne wyznanie wiary: jestem katalończykiem!

Początkowo „sardana” była tańcem, znanym i wykonywanym tylko przez wieśniaków. Ale w miarę burzenia się ruchu separatystycznego w Katalonii zdobywała sobie coraz szersze prawo obywatelstwa, jako jeden z najbardziej charakterystycznych i widocznych wyrazów regionalizmu Katalońskiego.

A im bardziej rząd centralny, w Madrycie usiłował stłumić i zwalczać ów separatyzm, — tym więcej i częściej tańczono „sardanę”, nie tylko na wsi, ale i w miastach. Ludzie, którzy nigdy w życiu nie tańczyli, wchodzili do koła tańczących „sardanę”, dla zademonstrowania tym tańcem swych przekonań i uczuć patriotycznych.

„Sardana” stała się sztandarem, stała się najmiłszym i najdroższym tańcem narodowym.

Cały szereg najlepszych kompozytorów układa muzykę, — poeci dora-

biają teksty i tytuły: „Przez ciebie płaczę”... „Pieśń majowa”... „Serce na serce”... wszystkie tchnące żarem południowej miłości, ale wszystkie w charakterystycznym żywym tempie i rytmie klasycznej „sardany”.

Taniec to łatwy, polegający na pełnych harmonii, rytmicznych, łagod-

nych ruchach, nie pozbawiony jednak piękności i wdzięku.

Początek swój wywodzi on z trudniejszego i bardziej skomplikowanego „contrapas” (kadryla), którego był jedną z figur. Kadryl poszedł już dawno w zapomnienie; „sardana” łatwiejsza, prosta, zajęła jego miejsce.

Po kadrylu pozostała tylko owa obowiązkowa przygrywka — owe osm lub dziesięć pierwszych taktów, granych na flecie, a stanowiących zapowiedź właściwego tańca. I one to elektryzują tłumy, — one potrafią zatamować komunikację w milionowym mieście, Barcelonie, stolicy Katalonii.

(N.)

„Szkarłatny błazen”

Pod tym tytułem wydał H. H. Dunn angielską książkę, w której opowiada koleje życia Emiljana Zapaty, meksykańskiego wodza bandytów i, jak zwyczajnie bywa w starym kraju Azteków — polityka.

Jak większa część ludności Meksyku, Zapata pochodził z Indian, mianowicie z tych, których tam nazywają **Guerreros** — wojownikami. Miał zaledwie drobną przymieszkę krwi hiszpańskiej. Zaczynał od małego. W r. 1900 należał do skromnej bandy rozbójniczej, złożonej zaledwie z pięciu ludzi. Lecz w owym czasie rządził Porfirio Diaz, a miał żelazną rękę. Piątkę wyłapano. Zapata otrzymał do wyboru kulę w łeb lub karną służbę w wojsku. Nie namyślał się długo i następnych lat dziesięć spędził w szeregach armii rządowej. Dosłużył się stopnia sierżanta, ale nie nauczył się czytać i pisać. Przez cały czas pozostawał pod nadzorem.

Rok 1910 przyniósł ogólną amnestię i Zapata powrócił do rodzinnej **haciendy**. Zaczął się teraz systematycznie przygotowywać do odegrania swej krwawej roli w dziejach Meksyku. Gromadził z wolna pieniądze i broń. Nie przedsięwziął spróbować szczęścia na szerszej arenie, aż miał do dyspozycji blisko pół miliona złotych, tysiąc karabinów, tysiąc długich noży, zwanych **machete** i dwa miliony ładunków. Wtedy ogłosił się bojem Indian, gnębionych przez Diaza i w krótkim czasie skupił pod swym wodzostwem około tysiąca ludzi.

Akcja polityczna stanowiła pozór, prawdziwym celem tej piekielnej zaiste bandy był rabunek. Przeciagała ona po kraju, łupiąc, wymuszając, a w razie oporu dopuszczając się niesłychanych okrucieństw. Gdzie tylko podejrzewano ukryte pieniądze lub kosztowności, brano ludzi na tortury. Ktokolwiek narażał się zbójom Zapaty, ginął w piekielnych męczarniach. Jednych oblewano naftą i zmieniano w żywe pochodnie, innych rzucono związanych do mrowisk. Sam herszt miał własnoręcznie zabić 250 ludzi. Dla swoich towarzyszy był bożysz-

czem. Miał dla nich hojną rękę i pozwalał na wszystko, zachęcając do rabunku, pożogi, gwałcenia i mordów. Przy tem wszystkim nie robi już większego wrażenia fakt, że „żenił się” dwadzieścia sześć razy (podobno raz nawet z zachowaniem wszelkich formalności prawnych).

Autor biografii tej sympatycznej osobistości mówi o niej w superlatywach. Zapata był wedle niego „chtrzejszy, okrutniejszy i inteligentniejszy niż Geronimo, zbliżał się do Cezara we wpływie, jaki wywierał na swych ludzi, współzawodniczył z Wandalem Generykiem w łupiestwie, a działał w kraju dzikszym, niż ten, przez który Dżengis Chan wiódł był swych mongolskich niszczycieli”.

Był też Zapata prawdziwą potęgą. Przez ośm lat, można powiedzieć, wola jego była prawem dla trzeciej części Meksyku i dla jakich 3—4 milionów mieszkańców. Wartość tego, co zrabował i co zniszczył, obliczają na 150 milionów złotych. Nadto od szeregu prezydentów otrzymał olbrzymie sumy za pomoc w ich przedsięwzięciach politycznych lub za chwilowe powstrzymywanie się od swych wypraw. Zresztą takie umowy łamał zwykle po krótkim czasie.

Dunn daje relację o śmierci Zapaty na podstawie opowiadania ostatniej jego „żony”, Indjanki ze szczepu Ohomi. Carranza udało się skończyć z tym królem bandytów. Wysłany przeciw niemu pułkownik Guajardo pokonał go przy pomocy zdrady. Lecz musiał ostatecznie stoczyć z nim śmiertelny pojedynek. Zapata walczył nożem, Guajardo szablą. W pewnej chwili **machete** bandyty prysnął pod cięciem — i wówczas zwycięski nieprzyjaciół zadał mu pchnięcie w samo serce.

Guajardo stał przez chwilę, wsparty na szpadzie, którą wyciągnął z ciała. Potem, nie spiesząc się ani trochę, odciął memu mężowi głowę, i podniósł ją wysoko za włosy i trzymał tak przez chwilę, aby jego ludzie się jej przyjrzel. Mój ojciec i ja, a z nami inni ze szczepu Otoni, nie za starzy do ucieczki, usłyszmy w lasy. Nie mogliśmy nie poradzić a rzecz naturalna spodziewaliśmy się, że karrancisci będą próbowali nas pozabijać. Spalili

wszystkie domy. Zabili kilku starców i kilka kobiet. Reszta zginęła w płomieniach. Nasza wieś znikła z powierzchni ziemi.

Tak to skończył „szkarłatny żartowniś”. Głowę jego wystawiono na widok publiczny, Guajardo otrzymał 100.000 pesos (ponad 800.000 zł.) nagrody i, jak łatwo się domyślić, stopień generała. Skończył jednak tragicznie. W nim z kolei rozbudziły się aspiracje dyktatorskie, stanął na czele rewolucji, został pobity i rozstrzelony. W dwa lata później Carranza, uchodząc ze skarbami, które sobie uciął w czasie swej dyktatury, padł ofiarą mordu. Podobny los spotkał Obregona. Villa został rozstrzelany, jak Guajardo. Historia meksykańska ostatnich czasów to naprawdę purpurowe błazeństwo, to orgia ambicji chciwości, łupiestwa, zdrady i krwawego mordu.

J. Z.

Sceniczne banknoty

Zdarza się często, zwłaszcza w sztukach współczesnych, że banknoty są koniecznym rekwizytem scenicznym. Teatry francuskie trzymały się pod tym względem metody realistycznej. Nie używano wprawdzie rzeczywistych pieniędzy papierowych, ale doskonałych imitacji i widz mógł sądzić, że banknoty, które sobie aktorzy wręczają lub które liczą, są prawdziwe. Owych bezwartościowych świstków dostarczała jedna z drukarni paryskich, która doprowadziła ich produkcję do doskonałości. O oszustwie nie było mowy, gdyż zamiast napisu **Banque Francals** widniał na banknotach napis **Banque du Rire** (bank śmiechu).

A jednak władze doszły do przekonania, że owe świstki mogą posłużyć do celów przestępczych. W drukarni zjawili się dwaj urzędnicy Banku Francuskiego i skonfiskowali cały zapas. Kazali sobie również pokazać księgi handlowe dla sprawdzenia, kto nabywał imitacje. Pokazało się, że Komedja Francuska miała ich na grube miliony. Wszystko poszło w piec i odtąd trzeba będzie albo używać na scenie prawdziwych pieniędzy papierowych albo świstków, które będą psuły iluzję.

Nowości z przyrody i techniki

Tunel pod ujściem rzeki. Rozpoczęte w grudniu 1925 roku prace nad budową tunelu łączącego Liverpool z miastem na drugim brzegu rzeki Mersey między Birkhead zbliżają się do końca — i w lipcu br. król angielski dokona otwarcia tego olbrzymiego tunelu, stanowiącego istnie cudu techniki.

Tunel posiada długość 3.487 metrów, a średnicę 14 metrów. Ściany wyłożone betonem dla zabezpieczenia przed wilgocią; sklepienie powleczone gipsem, — podczas gdy ściany boczne do wysokości 3 mtr. pokryte zostały czarnym błyszczącym szkłem, celem uzyskania silniejszego kontrastu świetlnego, grającego tak ważną rolę w komunikacji samochodowej.

Doprowadzenie świeżego powietrza odbywa się automatycznie, a kontrola wymaga pracy zaledwie jednego człowieka. Jako maksimum przyjmuje się 68 tysięcy metrów kubicznych powietrza na minutę.

Tunel ten, poprowadzony pod łożyskiem rzeki Mersey przy jej ujściu do morza ułatwi komunikację między Liverpoolem a sąsiednimi miastami Birkhead i Wallasey, — a koszty budowy o-

bliczone zostały na 7 milionów funtów.

Niemcy budują autostrady. We wrześniu z roku rozpoczęto we Frankfurcie budowę pierwszej wielkiej autostrady, przyczem zatrudnionych było zaledwie 70 robotników.

Obecnie pracują już przy budowie z górą sześć tysięcy ludzi, a zatwierdzony na rok bieżący plan przewiduje wybudowanie nie mniej jak 1376 kilometrów specjalnych dróg dla samochodów. Drogi te mają duże znaczenie nie tylko ze względu na gospodarczych lecz i militarnych.

Drzewa cisowe jak wykazały badania przeprowadzone przez weterynarzy, posiadają silne własności trujące. Konie i krowy, które zjadły niewielką ilość liści cisu, dostają drgawek i zdykują po paru godzinach. Bardziej odporne na działanie są króliki, kozy i owce. Natomiast doświadczenia przeprowadzone na świńkach morskich, wykazały, że zwierzęta te mogą bezkarnie zjadać liście cisu, a nawet wyciąg z tych liści zastrzygnięty im pod skórę nie przynosi im żadnej szkody.

Torpeda kierowana falami radioelek-

trycznymi. Marynarka angielska przeprowadza obecnie w pobliżu wyspy Wight ciekawe eksperymenty z olbrzymimi torpedami, kierowanymi zapomocą fal radioelektrycznych. Kierowanie odbywać się może zarówno z brzegu jak i z pokładu okrętu. Torpeda, poruszająca się z szybkością 50 kilometrów na godzinę, wybuchła przy zetknięciu się ze ścianą okrętu.

Kongres lekarzy - automobilistów. W czasie od 20 do 24 maja obradować będzie w Utrechcie (Holandia) kongres międzynarodowy lekarzy - automobilistów. W programie przewidziane są m. in. następujące referaty: specjalne odznaki dla lekarzy - automobilistów; obniżka taks i prawo pierwszeństwa w przejeździe, sprawa uzyskiwania prawa prowadzenia wozu w służbie lekarskiej sprawa obniżenia kosztów jazdy samochodem, organizacja pierwszej pomocy w nagłych wypadkach i t. p.

Światowa produkcja samochodów. Rok 1930 był rekordowym w amerykańskim przemyśle automobilowym, — z cyfrą 8 i pół miliona wyprodukowanych samochodów. W latach następnych produkcja spadła znacznie — i i pół miliona w roku 1932. Ale już w roku 1933 zauważyć

się daje znaczna poprawa — produkcja przekracza cyfrę dwóch milionów.

Również i w Anglii produkcja wzrasta bardzo szybko, dochodząc do 285 tysięcy w roku 1933, a więc o 40 tysięcy więcej niż w roku 1932.

Niemcy, które w roku 1932 wyprodukowały tylko 42 tysiące, doszły w następnym roku do sumy zgorą 93 tysięcy samochodów.

Natomiast produkcja francuska wykazuje stały spadek począwszy od roku 1930. Podczas gdy w roku 1930 liczba wyprodukowanych samochodów turystycznych dochodziła do 222 tysięcy, — to w roku 1933 wyprodukowano ich tylko 160 tysięcy.

Fabryki włoskie wypuściły w zeszłym roku 40 tysięcy samochodów co oznacza przybytek o dziesięć tysięcy sztuk w porównaniu z rokiem 1932.

Nafta w Maroku. Francuzi prowadzą od paru lat poszukiwania za naftą w swych kolonjach zamorskich, przede wszystkim w Afryce. Próbną wiercenia przeprowadzone w Maroku, w okolicy Gharb, doprowadziły do odkrycia bogatych terenów ropodajnych o wydajności 50 tysięcy litrów dziennie.

Szanghaj - międzynarodowa metropolja

Rano pasażer budzi się w kabinie okrętowej. Po tyłu, tyłu dniach spokojnej podróży, słychać zewsząd krzyki, nawoływania, gwizdy syreny... Po obu stronach brzegi. To rzeka Whangpen, a tam w dali sylweta budynków — to Szanghaj.

Okręt z trudem przeciska się wśród małych łódek, barek, dżonek i manewrujących statków. Stosunkowo wąskie koryta tak przepełnione, że suchą nogą można przejść przez rzekę. — Dużo miejsca zajmują zakotwiczone olbrzymie morskie, krążowniki Anglii, Francji, Ameryki, Italii i Japonii. — Z prawego brzegu wspaniały widok. — Rysuje się poszarpana i nierówna linja drapaczy chmur — prawie jak New York. — To Bund.

Wystrzela w niebo wieżycia Cathay Hotelu, dalej niby bizantyjski meczet Hong-Kong Shanghai Banking Corporation. Warto tu zobaczyć świątynię we wnętrzu, kapitalnie chłodzone w lecie refrigeratorami.

Na zachód od Bundu wystrzelają ulice do niego prostopadle. Nazwy im dano wedle większych miast Chin. Najruchliwsza, to Nanking Road. Dalej krzyżują je znów przecznice oznaczone imionami prowincji.

I tak to się ciągnie na zachód — ulice przepełnione: samochody, autobusy i małe dwukółowe wózki, ciągnięte przez chińskich kulisów. Nanking Road kończy się przy olbrzymim oparkanionym placu — to tor wyścigowy (Race Course). Tu zbierają się sportsmeni i dystyngowani członkowie klubów. Naprzeciw dziesięciopiętrowy budynek Y. M. C. A. z krytą pływalnią (pływalni krytych jest w Szanghaju ponad dziesięć).

Bund, Race Course i cała szeroka, ruchliwa ulica Bubbling Well Road (może trochę za długa dla piechura) wraz z siecią ulic, uliczek i zaułków, to koncesja Międzynarodowa „Foreign Settlement”.

Na północ poza granicą Settlementu — terytorium chińskie. Zaczyna się wielkim budynkiem dworca kolejowego, gdzie 3 linje biorą początek, najdłuższa z nich przez Nankin do Pekinu. Za dworcem ciągnie się chińskie Char-

pei ze zgłiszczami i ruinami domów chińskich, wandalsko zbombardowanych przez Japończyków, gdy kilkanaście miesięcy temu atakowali Szanghaj.

Na granicy Settlementu i chińskiego terytorium są wielkie, żelazne bramy z ciekawym napisem: „Warning: This gate is not bullet proof.” (Ostrzeżenie: Ta brama nie zabezpieczona przed kulami).

Od strony południowej, Settlement graniczy z koncesją francuską. Mimo nazwy „Koncesja Międzynarodowa” jest ona właściwie kolonią angielską: Władze municypalne i policyjne. Wszędzie wyższe stanowiska zajmują przeważnie Anglicy. Tyle tylko ze swej suwerenności ustępują innym narodom, że na koncesji kwatrują poza załogą angielską także wojska amerykańskie i japońskie. Tym kolonialnym wojskom wiedzie się nieźle. Amerykanie i Anglicy są żołnierzami kontraktowymi, dobrze wynagradzanymi. Paradują więc w doskonale skrojonych mundurach, obrzucając się wzajemnie złośliwymi spojrzeniami. Amerykanin kpi ze spódniczki Szkota, a Szkot patrzy z wyższością na nieprzysiężonego gościa.

Charakterystyczną dla Settlementu jest policja. Ruch uliczny regulują indyjscy Siksowie i Pendżahu. Brodaci, grubi panowie wyglądają bardzo dostojnie w swych turbanach. Kulisi, ciągnący riksze czy wózki transportowe, nie obawiają się Siksa. Jest on za powolny, i zanim się ruszy, winowajca już dawno zniknął mu z przed oczu.

Rolę pomocniczą przy regulacji ruchu ulicznego, oraz służbę bezpieczeństwa pełnią Chińczycy pod kierownictwem podoficerów i oficerów angielskich.

Miejsc rozrywkowo-kulturalnych — Settlement posiada niewiele. Poza kilku pierwszorzędnymi kinami, jest kilkanaście mniejszych, do których cudzoziemiec nie chodzi. Bywa od czasu do czasu odczyt, ale mało kto się tem interesuje.

Życie eleganckiego „białego” świata koncentruje się we wspaniałych lokalach klubowych. Dawniej było to może jedyne miejsce dla cudzoziemca, gdzie poza domem i pracą mógł się po-

jawiać. Ale czas powojennego kryzysu wiele zmienił. Angielski standard życia, choć i do dziś dnia istnieje, w wielu wypadkach zniżył się o kilka szczebli. I Anglicy mają w Szanghaju 200 bezrobotnych. Równocześnie z postępem kulturalnym chińskich obywateli, utruniona walka o byt kazała białemu człowiekowi zejść z piedestału i podawać na powitanie rękę Chińczykowi. Dawniej do autobusów i pierwszej klasy w tramwaju nie miał Chińczyk prawa wstępu. Równocześnie z ekonomicznym kryzysem przybywali emigranci z Rosji. Ci do reszty odjęli nimb białego człowieka.

W Szanghaju jest wiele szkół o bardzo szumnych tytułach. Uniwersytetów jest coś 6 czy 7. Należą często do Chińczyków lub organizacji religijnych. Niektóre akademie nie wiele różnią się od angielskich szkół zawodowych.

Przejście z Foreign Settlementu do Koncesji Francuskiej, to jest przeskok z Londynu do Paryża. Szczególnie po północy, gdy Settlement już śpi, lub bawi się w klubach, na Avenue Joffre czy Lafayette, szal zabaw święci triumfy Mont-Martre'u.

Błyskają światła reklamowe kabin, teatrzyków, dancinów. Nie trudno znaleźć też palarnię opium. — Ruch na ulicach ogromny. Dużo pieśnych, wiele młodych, ładnych dziewcząt.

Tłumy śpieszą do „Canidrome”. To szanghajskie Monte-Carlo. Są tu dancin, restauracje, ale największym zainteresowaniem cieszy się „Canidrome”. Duży eliptyczny plac, gęsto obstawiony trybunami. Wśród widzów podniecenie, bo na torze wyścigowym pojawił się mechaniczny zając. Sunie po białej linii szyn, za chwilę otwierają się klatki, wybiegają podniecone psy i pędzą za nieuchwytnym zającem. Psy szczekają, a publiczność wyje, dopinając czworonożnych zawodników.

Olbrzymie cyfry ukazują się na ekranie, ogłaszając wyniki totalizatora. Wrzawa wśród publiczności. Przekleństwa zawiedzionych, krzyki, radość posiadaczy wygranych. — Za chwilę znów cisza. — Studują z ołówkiem w rękę statystyki, programy, naradzają się. Nowy bieg rozpoczyna się, każdy pośpiesznie obstawia nowych psich zawodników.

Na trybunach Canidrome'u przeważnie mówią po chińsku. Chińczycy pasjonują się hazardem. W dancinach panowie mówią po angielsku, tancerki po rosyjsku. Gdy proponowałem znajomemu Włochowi zapisanie się do jednego klubu francuskiego, odpowiedział, że interesuje go nauka języka rosyjskiego. Na ulicy w Koncesji Francuskiej panuje język rosyjski. Francuzi są oszczędni i zatrudniają w swych urzędach element najtańszy, Rosjan i Anamitów z Indochin. Tylko wyżsi urzędnicy są Francuzami.

Rosjanie mieszkają przeważnie w Koncesji Francuskiej, a tylko niewiele w Settlementencie. Ogólna ich liczba waha się około 30.000. Widziani są źle, tak przez cudzoziemców, jak przez krajowców. Rosjanin w Szanghaju stanowi jakby coś pośredniego między „białym”, a „żółtym”.

Z cudzoziemców w obu koncesjach oblicza się Anglików na 8 tysięcy, Amerykanów na 6 tysięcy, Francuzów na 2 tysiące, Japończyków na 50 tysięcy. Z innych narodowości nie przynoszących tysiąca głów, żyją tu Portugalczycy, Holendrzy, Polacy, Węgrzy i Czesi.

Podobno około 40 narodów reprezentowanych jest w Szanghaju. — Ogromną większość stanowią Chińczycy, których liczba przenosi 2 miliony. Szanghaj śmiało można zaliczyć do największych metropolii świata. — Ma po temu dane i do niego należy przyszłość.

Dr. J. Wielawski i dr. W. Winiarz

Wymowny kanonik

W r. 1900 ksiądz Desgrange był skromnym i nieśmiałym młodym człowiekiem. Kilku znajomych namówiło go,

aby udał się wraz z nimi na wiec przedwyborczy w Rouen. Nastrój był burzliwy. Gdy licznie zebrani socjaliści zobaczyli niepozornego duchownego, zaczęli krzyczeć: „Patrzcie, ksiądz! Niech no wyjdzie na podium!” Obiecywali sobie naturalnie dużo uciechy. Lecz księżyna okazał się niebezpiecznym przeciwnikiem. Przemówił krótko, poczem zaproponował zapytanie i dyskusję, w której każdego z przeciwników błyskawicznie kładł na obie łopatki. Odkrył w sobie urodzonego mówcę wiecowego.

Dzisiaj kanonik Desgranges jest deputowanym z Morbihan i jednym z pierwszych mówców Izby. Prowadził w ciągu swej politycznej kariery statystykę i pokazuje się, że brał udział w 2846 dyskusji. Prawie zawsze odnosił zwycięstwa.

Zapytany o tajemnicę swego powodzenia, kanonik odpowiedział mniej więcej tak: „Trzeba zawsze mieć coś do powiedzenia i dokonać pewnego wysiłku, aby to wypowiedzieć. W dyskusji zaś główną rzeczą nie jest własna inteligencja, lecz umiejętność wyzyskania głupoty oponentów.”

„Kobiety polują na mężczyznę ze ślepa zaciekłością, z taką zaciekłością, z jaką słońce obraca się za słońcem, lub pnące chwytają się chropowatej powierzchni.”

Jack London.

Sabaudja - miasto na bagnach

W obecności pary królewskiej i najwyższych dostojników odbyło się przed paru dniami uroczyste „otwarcie” nowego miasta, drugiego już rzędu, na osuszonych terenach słynnych bagien pontyjskich.

Nowe miasto, nazwane „Sabaudja” na cześć domu panującego włoskiego, nie ma nic wspólnego z owym typem miast amerykańskich, wyrastających jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej w okolicach bezludnych i niedostępnych, gdzie odkryto nieoczekiwanie żyły złota lub pola naftowe. Miast, które równie nagle powstają jak znikają po kilkunastu czy kilkudziesięciu latach, kiedy okoliczne tereny zostały już doszczętnie wyeksploatowane.

Nie, — Sabaudja, to raczej wieś, czy osada rolnicza lub miastogród. To nowe centrum administracyjne i polityczne dla tamtejszej ludności, której olbrzymią większość stanowili byli wojskowi, a obecnie osadnicy rolni na tych ziemiach, przywróconych wreszcie kulturze.

Tem niemniej posiada Sabaudja wszystkie najbardziej nowoczesne urządzenia, jakie widzi się w każdym większym mieście, a więc: wspaniały ratusz, kościół, urząd pocztowy, hotel, teatr, szkoły, szpital, ochronki, wodociągi, cementarz, a nawet doskonały stadion sportowy.

Nowe miasto ma wszelkie możliwości dalszego rozwoju: zabudowane stosunkowo rzadko, nad brzegami dużego jeziora „Lago di Paola”, o szerokich, wybrukowanych ulicach, może rozszerzać się w kierunku tzw. „Monte Circeo”, niewielkiej zalesionej góry, leżącej na wysuniętym w morze cyplu.

Dobre drogi łączą go zarówno z niedaleko leżącą siostrzaną „Littoria”, jak i ze słynną „Via Appia”.

Jedynym niemal materiałem budowlanym był żelazo-beton, dzięki czemu styl architektoniczny Sabaudji odznacza się niezwykłą prostotą linii.

Ponad dachami przeważnie jednopiętrowych, białych domów, górują trzy smukłe wieże: przy kościele, ratuszu i domu faszystów. Zpośród dzwó-

nów, umieszczonych na tych wieżach, jeden odlany został z brązu armat, zdobytych nad Piawą. Wyrity jest na nim napis treści następującej:

„Ten sam brąz, który ongi grzmiał na polu bitwy, dziś nawołuje na zbórkę zwycięzców w nowej walce”.

W tej nieubłaganej walce, jaką prowadzą Włosi z przyrodą, wydzierając jej systematycznie pędz po pędzi ziemi, będącej od tysięcy lat siedliskiem sraszliwej malarji, tej ziemi, leżącej niemal u wrót Rzymu, a opierającej się przez długie wieki wszelkim wysiłkom człowieka.

„Sabaudja” — to drugi etap tej zwycięskiej walki. Miasto to, zbudowane w ciągu ośmiu miesięcy, jest jeszcze jednym dokumentem zwycięstwa geniusza ludzkiego nad przyrodą.

Osuszenie Zuidersee w Holandji i bagien pontyjskich we Włoszech, to jedne z najpiękniejszych kart w historii kultury ludzkości.

(R.)

Czy to ona?

(Rola Zofji Kossak-Szczuckiej na polu rozwoju powieści historycznej)

Zyjemy w przededniu wielkiego i świetnego renesansu historyzmu we wszystkich dziedzinach życia kulturalnego. Zdawałoby się, że rzeczywistość dnia dzisiejszego przeczy tej wierze w odrodzenie historycznego poglądu na świat, nawiązującego w swych podstawach do tradycji przeszłości: przysłówowa bowiem ahistoriczność naszej epoki zdaje się nie ulegać wątpliwości... a jednak... jednak tak jak już dziś w dziedzinie filmu, w wielu programach politycznych, w wielu galejach sztuki widzimy nawrót do historyzmu, do cech i tradycji przeszłości — tak samo niebawem ten związek z przeszłością ogarnie wielkim płomieniem całe życie kulturalne, całą sztukę, — prawdę podobnie i całą literaturę.

Zmęczeni szarością dnia dzisiejszego coraz to chętniej pieścimy oczy swej wyobraźni barwnymi wizjami przeszłości; wyzyskujemy i zniszczymy bezzusłownym poszukiwaniem nowych dróg życia społecznego i rodzinnego, etyki i estetyki — powracamy do prawd i norm, przekazanych nam przez wieki minione... przez tradycję; zawiedzeni w nadziejach znalezienia, jakichś nowych (mogących się równać przynajmniej ze starymi, jeśli ich już nie przewyższają) form wypowiedzenia artystycznego — wracamy do kanonów sztuki, stworzonych przez epoki dawne, przy czym wracamy do nich i tam nawet, gdzie najsilniej wszystko, co ma związek z przeszłością, — zwalczano (w Rosji Sowieckiej).

Triumfy Szolochowa w Rosji a Marji Dąbrowskiej (Noce i dnie) w Polsce — to triumfy epiki, do której należy *Jutro ilustrowany pięknie*. Jeszcze krok tylko dzieli nas od ponownego triumfu gatunku powieściowego najbardziej epickiego — powieści historycznej. Wszak właśnie w tej formie powieści historycznej — a nie żadnej innej — najwyższe swe szczyty osiągnęła epika nowoczesna: w „Trylogii” i „Krzyżakach” Sienkiewicza i w „Wojnie i pokoju” Tolstoja.

W Rosji Sowieckiej krok ten już został zrobiony: powieść historyczna święci triumfy w postaci arcydzieła epickiego „Piotr I.” Aleksego N. Tolstoja. Niebawem krok ten zrobi i nasza literatura, ale kto będzie tym, co ten decydujący w dziejach polskiej powieści historycznej i całej naszej literatury krok zrobi...

Nie będzie nim napewno ani stylista nieporównany, tak doskonale się wczuwający w ducha średniowiecza, autor „Żywy kamień” Wacław Berent ani twórca „Twardowskiego”, Sieroszewski, ani Morstin, co napisał „Kłós panny”, ani Wyrzykowski, autor „Moskiewskich godów”, ani nawet debiutujący dziś i to z dużym powodzeniem — na polu powieści historycznej, autor „Czerwonych tarcz” — Jarosław Iwaszkiewicz.

Ze wszystkich współczesnych polskich powieściopisarzy historycznych stosunkowo największą kwalifikację do uczynienia z beletrystyki historycznej przodującego w nowej literaturze polskiej gatunku powieściowego — posiada Zofja Kossak-Szczucka.

W prasie literackiej nieraz sygnalizowano już pojawienie się nowej jej książki — kilkutomowej powieści z epoki wypraw krzyżowych, informacje te jednak nie były wyszczególniane i nie odznaczały się zbyt wielką ścisłością, tak że po dziś dzień nie wiemy, czy ma być to powieść z okresu pierwszej wyprawy krzyżowej (1096-99), czy trzeciej (1180-91). Wiemy narazie tylko tyle, że autorka odbyła podróż do Ziemi Świętej śladami krzyżowców, co od razu ustokratnia zaufanie krytyki i czytelnika do jej znajomości tła lokalnego. Bez względu jednak na to, czy akcja powieści rozgrywać się będzie na tle pierwszego pochodu krzyżowego... na tle tego niewidzianego przedtem w dziejach świata ogromnego ruchu setek tysięcy ludzi, jedną z wiodących idei... czy też na tle przygód Ryszarda Lwie serce i walk krzyżowców z Saladynem — wszyscy ci, komu leży na sercu odrodzenie historyzmu w sztuce, a powieści historycznej w szczególności — z niecierpliwością oczekują

ukazania się nowego dzieła, tak chlubnie zapisanej w księdze dzieł powieści historycznej w Polsce — autorki.

Wybrany przez Kossak-Szczucką temat, tak korzystnie różniący się szerokością oddechu od całej naszej literatury czasów posienkiewiczowskich... temat, wskazujący na auto, że nas — Polaków w Odrzuconej Polsce stać już nareszcie na to, by się interesować i poruszać w sferze zagadnień i problemy wszechludzkie, wszechświatowe... że próbujemy już wydobyc się poza ciasne kółko czysto demowalnych interesów lub jeszcze ciasniejsze, a tak umiłowane dziś kółko podświadomości i związanych z nią zagadnień fizjologicznych, — temat ten — powtarzamy — łącznie z walorami pisarskimi autorki — pozwala nam oczekiwać od nowej powieści Zofji Kossak-Szczuckiej, że stanowić będzie epokę w dziejach powieści historycznej i w dziejach naszej literatury.

Stąd naprężone oczekiwanie, przeważnie — pełne nadziei radości i optymistyczne, ale nie wolne od lęku i wątpliwości: czy przy swojej, znanej z jej dotychczasowych powieści historycznych — strukturze psychicznej i artystycznej — potrafi Zofja Kossak-Szczucka wypełnić ogrom swego zadania? czy podoba??? **Czy to ona** w istocie ma się stać sprawczynią renesansu historyzmu w sztuce?

By stać się tą sprawczynią mogła, czegoż od niej się żąda?... jakie się jej stawia wymagania?...

Przedewszystkiem chodzi o to, by w powieści swej w naśladownictwo sposobu artystycznego odtworzyła ducha interesującej ją epoki. Dalej — by ludzie jej w szczególności ludzie, znani nam z historii — a więc t. zw. wielkie postacie historyczne — byli takimi jak my, a przecież innymi — o tyle innymi, o ile inna jest dzisiejsza epoka od tamtej. Niech w jej powieści wyzyskane będą wszystkie zdobycze najnowszej estetyki i techniki pisarskiej i niech zdobycze te harmonijnie połączą będą z temi wiecznotrwałymi kanonami narracji, dynamiki i kompozycji, jakie nam przekazuje wielka tradycja artystyczna. Niech żaden historyk nie będzie w stanie zarzucić jej najdrobniejszego uchybienia prawdzie dziejowej, a żaden psycholog — nieznajomości najnowszych badań nad duszą ludzką i motorami ludz-

kiego działania.

I wreszcie niech powieść ta porwie swą treścią, emocjonując fabułą... niech zdobywa czytelników... Już raz wreszcie zmusić masy czytelników do tego, aby przestały uważać beletrystykę historyczną za literaturę „nieciekawą”!

Zobaczmy teraz, o ile stawianym wyżej wymaganiom odpowiada talent Kossak-Szczuckiej i jej konstrukcja artystyczna w świetle dotychczas przez nią napisanych powieści historycznych.

Pierwsze jej większe dzieło z zakresu beletrystyki historycznej, „Beatum scilicet” jest w swoim rodzaju arcydziełem. Gruntowna znajomość epoki i jej ducha, doskonałe wczucie w psychikę Polaków XVII wieku, a w szczególności w najintymniejszą tajemnicę ich instynktu religijnego, niezwykle barwnie odmalowane tło, jednolita kompozycja, nieskomplikowana, ale umiejętnie naprowadzona fabuła — wszystko to rokowało jak najlepsze nadzieje na przyszłość. Ze wczuwaniem się w instynkt i ducha religijnego, jako najbardziej charakterystyczną cechę, wieków minionych stanowi główny punkt jej zainteresowań przeszłością widzimy to z „Szaleńców Bożych”, i w „Złotej wolności”, wielkiej powieści z czasów Zygmunta III kwestia religijna znaczną odgrywa rolę.

W „Złotej wolności” w stopniu najsilniejszym uwydatniły się najgłośniejsze właściwości talentu Kossak-Szczuckiej, wynoszące ją na czoło współczesnej polskiej beletrystyki historycznej: gruntowna znajomość epoki: ducha i tła materialnego, oszałamiająca wprost obfitość szczegółów i ambicja jak najbardziej wielostronnego odtwarzania życia polskiego owych czasów. „Złota wolność” — w przeciwieństwie do „Trylogii” Sienkiewicza — pokazuje nam Rzeczpospolitą nie tylko walczącą, ale gospodarującą, zajmującą się sprawami religijnymi, sztukami i naukami — pokazuje dwór królewski, wskrzesza niezliczoną ilość wielkich postaci historycznych: króla Zygmunta III, Piotra Skargę, Chodkiewicza i wielu innych.

Ale też w „Złotej wolności” uderzają i niedociągnięcia, wady i słabe strony konstrukcji artystycznej wielkiej pisarki: przedewszystkiem — i to znowu w przeciwieństwie do „Trylogii” — olbrzymie usterki kompozycyjne, niezadolność do ujednolicenia i dynamizowania akcji, rozwle-

kłość i brak emocjonującej fabuły, skupiającej w jedno poszczególne elementy powieści. A obok wadliwej kompozycji, papierowi ludzie — jakże im daleko do postaci sienkiewiczowskich! Co ważniejsze, autorka nie może lub nie zadaje sobie trudu wnikięcia w głąb psychiki wielkich postaci dziejowych, — ma się wrażenie jakby miała ambicję przedstawić Zygmunta III, Piotra Skargę i Chodkiewicza takimi... idealnie takimi, jakich znamy z podręczników historii.

Toteż i tu uderza znamienna różnica między Kossak-Szczucką a Sienkiewiczem, który wybranym przez siebie — jako materiał artystyczny — postaciom dziejowym nadawał takie oblicze, jakie chciał, a czynił to z taką potęgą artystyczną, że nawet w historii kreacje sienkiewiczowskie swą sugestyjnością wypierały poczęły swe rzeczywiste prototypy historyczne (Wiśniowiecki, Chmielnicki)!

W „Legnickim polu” do stopnia najwyższego rozwoju dochodzą zarówno zalety, jak i wady talentu Kossak-Szczuckiej. Polska, Włochy, państwo Mongołów XIII wieku bez zarzutu są odtworzone i to z niezwykłą siłą sugestii artystycznej. I jaka olbrzymia erudycja: jakie subtelne wnikięcie we wszystkie szczegóły epoki jej ducha i tła, jaka znajomość Śląska z XIII stulecia!... A zarazem znowu rozlająca się na wsze strony kompozycja, napróżno wiązana sztucznie romantyczną historią dwójki młodych Włochów, — do szczytu zaś szablonowości doprowadzona, typizacja postaci ludzkich: Henryk Pobozny i Konrad, jako synonimy walki polskości z duchem niemieckim, Chłirczyk zawsze tajemniczy i chytry... Mongol zawsze dziki, templariusz zawsze rozpustny i zniechęcający... Henryk Brodaty, zawsze targający długą swą brodą!

Wady w zakresie kompozycji i bezdusznego typizacji postaci dziejowych — oto niebezpieczeństwa, czyhające na drodze Kossak-Szczuckiej w jej dziele utworzenia powieści z epoki wypraw krzyżowych, niebezpieczeństwa tem poważniejsze, że powieść to na szeroką, zakrojona skalę w zakresie kompozycji, i rość się w niej będzie od znanych, wielkich postaci historycznych.

Jeżeli znakomita autorka da sobie radę z tem dwójakiem niebezpieczeństwem, możemy z góry być pewni — że tym, kto zrobi krok ostatni na drodze renesansu powieści historycznej — będzie właśnie ona — Zofja Kossak-Szczucka.

Teodor Parnicki.

Nowoczesny cyrk

Gdy Londyn, w kwietniu. gdzie podziały się czasy małych cyrków, które włożyły się po kraju płótnem nakrytymi wozami, ciągniętymi przez konie, cyrków, w których tradycyjniemi postaciami byli „człowiek szkielet” i „gruba dama”? Miałam niedawno sposobność podczas niedzielnej wycieczki przyrzeć się w Chelmsford przybyciu cyrku Bertrama Millsa i obejrzeć jego urządzenia.

A więc przedewszystkiem jest to cyrk zmotoryzowany. Wozy mają wygląd odwieczny — tylko łączy się po kilka i zaprzęga się do nich potężne traktory — cztery są na kołach, a dwa posuwają się po ziemi, jak gąsienice lub tanki.

Cyrk ma swój, zmotoryzowany również oddział straży ogniowej. W razie pożaru pracowałby on na serio, ale występuje także w przedstawieniach. Po przybyciu na miejsce rozpoczyna bezwzględnie próbę generalną jednego lub drugiego, gasząc urojony ogień pod miastem — środkami chemicznymi.

Z nadzwyczajną sprawnością rozbiłają ci ludzie swoje namioty. Jest to rodzaj osady w nowoczesnym stylu. Drogi od jednego płóciennego domku do drugiego oświetla szereg latarni elektrycznych.

Ale nie są to właściwie domki, tylko duże domy, urządzone porządnie, a nawet z komfortem. Przoduje pod tym względem garderoba damska, obficie wyposażona w zwierciadła, lampy elektryczne, cewice, w łazienki. Ktoś mi wyjaśnia, że artystki nie mogą długo czekać na kąpiel. Jackson Gvils, które poprzednio występowały w londyńskiej Olimpii, popisują się sławną sceną złocistych posągów (przez chwilę nieruchomych, a potem ożywiających się nagle, tańczących i śpiewających). Otóż złotka jest rzeczą bardzo szkodliwą dla zdrowia i im prędzej zmyje się ją, tem lepiej. Niepodobna ani czekać końca przedstawienia, ani jechać do publicznej łaźni.

Wspominałam o tradycyjnych postaciach cyrku angielskiego, człowieku-szkielecie i grubej damie. Niema ich u Bertrama Millsa, ale jest coś, co im odpowiada, mianowicie potężny robot. Afiszę zapytują się: Czy to człowiek, czy potwór, czy maszyna?

Personel cyrku składa się z trzystu osób najrozmaitszych narodowości. Są tu reprezentowane rasy biała, żółta i czarna. Japoński atleta wyszedł właśnie sprawdzić, czy jego mięśnie nie straciły nic ze zwykłej sprawności — i obrał całe Koło jednego z traktorów, posuwając

go bez widocznego wysiłku napróżd. Gdzieindziej murzyn powtarza ze swemi psami efektowne sztuczki.

Z narodów europejskich są tu prawie wszystkie i rozmowy przypominają wieżę Babel. Lecz poszczególne narodowości mówią między sobą najczęściej cyrkowym żargonem, który jest dziwną mieszaniną wszystkich języków.

Wszędzie panuje wzorowa czystość i porządek, wszędzie urządzenia mechaniczne, będące ostatnim wyrazem techniki. Nawet kasa zaopatrzona jest w poruszany popędem benzynowym aparat do liczenia pieniędzy.

Służba umundurowana jest malownicza, a jednostajnie. Daleko jesteśmy od dawnych strojów, ekscentrycznych i rzucających się w oczy, lecz obszarpanych.

Jedno przecież pozostało od wieków niezmiennione — zwierzęta. A cyrk Bertrama Millsa ma ich 86.

A. E.



Chcesz odbyć podróż tanio - szybko - wygodnie? Leć samolotem!